

Jestem Barbara Dominika Szkatuła. Pochodzę z parafii św. Królowej Jadwigi z Krowodrzy. Dziś, po 25 latach pracy na misjach w Peruwiańskiej Amazonii nie mogłabym skłamać, że jestem jakby złapana między dwoma światami. Tym stąd, z polskiego Krakowa i tamtym znad Amazonki.

Obecnie już żyję dłużej tam w dżungli, niż w Polsce. Staram się żyć podobnie do ludzi dżungli, w ich zwyczajach i kulturze, czuję że przynależę do nich, mówię tak jak oni, dzielę ich radości i smutki, jestem jakby małym żółwiem (tak bowiem nazywają ludzi z dżungli), nie przeszkadzają mi komary ani inne insekty, kocham słońce, światło i gorąc taki wilgotny ?aż pot z niego spływa?. Raczej się nie boję dżungli ani jej duchów ani jej stworzeń, ale fizycznie jestem inna, nie mogę zmienić koloru, nadal jestem biała, z niebieskimi oczami. Ale w Europie już też nie znalazłabym miejsca. Jest mi coraz bardziej obca i niezrozumiała. Nieustająca pogoń, walka o władzę, bogactwo, nadmiar mediów, "wszyscy mówiący" naraz itd. Tak. Nie jestem ani stamtąd ani stąd.

Wyjechałam z Krakowa będąc młodą, 22-letnią dziewczyną. Zdecydowana, aby dać świadectwo o Chrystusie, którego poznałam dzięki samej Jego łasce. Bóg użył wielu ludzi do jej przekazania. Tymi byli z pewnością moi rodzice, którzy wychowali mnie w hierarchii takich wartości jak Bóg i człowiek, i w duchu pomocy słabszym i najbardziej potrzebującym. Potem była katecheza w parafii z ks. Janem Dziaskiem, Józefem Jończykiem, oazy, ruch apostołski organizowany przez Instytut Żywego Słowa i Kultury Chrześcijańskiej prowadzony przez Ks. Antoniego Sołtysika i Ks. Misińca, a także Duszpasterstwo Chorych, w którym brałam czynny udział, a któremu przewodniczył ówczesny biskup Karol Wojtyła.

Ostatnią moją prostą przed wyjazdem do Peru była 2-letnia praca katechetyczna w Kościele Polskim w Wiedniu. To księża Zmartwychwstańcy ostatecznie się ze mną "rozprawili" i 21 listopada 1982 roku, dokładnie w Uroczystość Chrystusa Króla, zostałam, przez nich i wspólnotę kolonii polskiej posłana do dalekiego Peru.

Jechałam na misje zaproszona przez biskupa kanadyjskiego, Lorenzo Guibord, do Wikariatu św. Josefa znad Amazonki.

Nie za bardzo mogłam sobie wyobrazić statusu misjonarki świeckiej. Nie miałam wtedy żadnego przykładu takiej osoby. Zrywałam ze schematami, z jakimiś tradycjami. Ale ponieważ moją dewizą życia były i nadal nią pozostały słowa św. Pawła, w które głęboko zawierzyłam: ?Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia? udało się coś jakby niemożliwego, w tym czasie przynajmniej.

22 listopada tegoż 1982 roku opuściłam Wiedeń, by udać się jeszcze na tydzień do Rzymu. Szczęśliwym losem mogłam się spotkać z naszym papieżem, który mi udzielił specjalnego błogosławieństwa na daleką podróż i misje w dżungli peruwiańskiej.

Gdy poleciałam do Limy, stolicy Peru, pozostałam tam 4 miesiące na naukę języka hiszpańskiego-kastiljskiego. Moja pierwsza misja to parafia Narodzenia Matki Bożej w

Tamshiyacu. To jedna z ówczesnych 12 stacji misyjnych rozsianych na terenie wikariatu, o powierzchni 155.000 km², czyli objętościowo odpowiadająca prawie połowie Polski.

W Tamshiyacu, co znaczy w naszym dialekcie liana z wody, pracowałam trzy lata. To były moje pierwsze kroki, moja pierwsza szkoła życia w dżungli. Uczyłam się wszystkiego: języka ?żółwi?, (jak wspominałam już wcześniej ludzi dżungli cała reszta Peru nazywa ?żółwiami?), takie sympatyczne określenie ludzi powolnych, naprawdę nigdzie im się nie spieszy, uczyłam się wiosłować, prowadzić motorówkę, poruszać machetą, dużym nożem buszmańskim, pracować na roli, używać hamaku czy moskitiery, walczyć ze strachem przed zwierzętami a szczególnie karaluchami, itp.

Dzieci pomagały mi fantastycznie w tych wszystkich zadaniach. Pomału zajęłam się katechezą dzieci w samej osadzie i stopniowo w dziesiątkach wiosek, przynależących do tej parafii, rozsianych nad brzegiem Amazonki i często bardzo odległych od siebie.

Pracowaliśmy w ekipie: dwóch kapłanów i misjonarz świecki z Kanady, jedna siostra zakonna z Peru i ja - Polka.

Dwa miesiące po moim przyjeździe misjonarz świecki wrócił do Kanady, a siostra zmarła na raka. Zostało nas troje. Musieliśmy sobie radzić z dużą parafią.

Angażowanie ludzi świeckich do czynnego udziału w życiu parafii było wyjściem. Bardzo mi się to podobało, było to po mojej linii, choć w Polsce tego nie doświadczałam.

Zaczęłam włączać się w prace z młodzieżą i animatorami wspólnot chrześcijańskich.

Animatorzy to tacy liderzy duchowi, których podstawowym zadaniem jest odprawienie niedzielnego czytania Słowa Bożego, a także z okazji różnych świąt. Animator staje się też autorytetem dla wioski i bierze udział w koordynacji z innymi przedstawicielami władz.

Wikariat założony w 1945 roku zajmował się, jak to wtedy była rozumiana ewangelizacja; budowaniem szkół, szpitali, warsztatów, udzielaniem świadczeń socjalnych i nade wszystko udzielaniem sakramentów, bez większego przygotowania.

Od 1985 roku posiadaliśmy już cztery plany duszpasterskie 5-letnie, według których pracujemy w 8 priorytetach: Formacja Animatorów i wspólnot chrześcijańskich, Duszpasterstwo Rodzin, Młodzieży, Powołań, Indian, Inkulturacji i duszpasterstwo socjalne, w którego skład wchodzi: CARITAS, Prawa Człowieka, Edukacja Religijna, Duszpasterstwo Zdrowia i Więźniów.

W końcu 1985 roku przyjechała pomoc z Kanady: trzy siostry ze zgromadzenia św. Różańca.

A ja zostałam zaproszona przez biskupa do pracy w San Pablo, innej stacji misyjnej, w tym samym Wikariacie.

Okazało się, że ta parafia jest specjalna, nie tylko u nas, ale w całym Peru. Tu znajdowało się leprosorium, które dla poszanowania tych ludzi nazywano Domem św. Józefa. Dom ten

gromadził ponad 20 chorych, a cała reszta poprostu mieszkała w domach, ze swoimi rodzinami. Sytuacja nie była łatwa. Biskup zmienił moje miejsce pracy, bo w San Pablo Ks. Ernesto z Kanady pracował jakkolwiek z trzema siostrami, ale jedynie zajmowali się sprawą chorych, a pozostawała praca duszpasterska w innych aspektach i ponad 20 wiosek wokół San Pablo. Przeszłość tych mieszkańców ciążyła niezmiernie na ich rozwoju. Może nawet do dziś uważają, szczególnie starsi, że trąd ich spotkał z powodu kary Bożej. Zaczęłam tworzyć grupy dziecięce i młodzieżowe, z którymi organizowaliśmy ciekawe programy artystyczne, religijne, i przedstawialiśmy je chorym w Domu św. Józefa. Niezwykła była ich radość. Staralam się wraz z młodzieżą podnieść ich poczucie godności i chęć dowartościowania się. Kiedy ksiądz zachorował zostałam sama cały rok, tzn. w duszpasterstwie bo siostry nadal zajmowały się opieką szpitalną. Wypływałam z młodzieżą i animatorami do wiosek, bardzo często, w samym zaś S. Pablo inni świeccy prowadzili nabożeństwa czy zastępowali mnie w grupach.

W 1991 ks. biskup Lorezno znalazł polskiego księdza do pracy w San Pablo. Po 9 latach drugi polak, w naszym Wikariacie.

Tymczasem w parafii Tacsha Curaray zmarł misjonarz, jedyny którego miała ta wioska, i ludzie wymagali od biskupa kogoś w zastępstwo. Ponieważ ja nie miałam specjalnych trudności do zmiany miejsca, kilka ciuszków, książek, gitara pod pachę i żadnych przełożonych sióstr, biskup ponownie poprosił mnie o pomoc.

Po 7 latach pracy w San Pablo dostałam się do parafii Tacsha Curaray. Leży ona nad rzeką Napo, nie jak ostatnie dwie nad Amazonką. Napo to jedna z większych dorzeczy Amazonki.

W tej wiosce byłam sama, niemniej jednak miałam pomoc od ks. Norbertynow z sąsiedniej parafii, odległej o 50 km. Pokonując tą odległość płynąc łódką lub motorówka, "pożyczyłam" księży kiedy byli potrzebni.

Wszelki transport odbywa się rzekami i tylko rzekami. Nie ma żadnych dróg. Tutaj jak zwykle zajęłam się moimi ?specjalnościami?: Animatorami, Wspólnotami, Młodzieżą i dziećmi. Zainspirowałam pracę wśród kobiet, ale szybko ją "sprzedałam" dobrej pani pielęgniarce, która szczerze chciała pomóc. Więcej zobowiązań podemować nie mogłam.

Stałam się ponownie odpowiedzialna za parafię. Kiedyś mogło by mi się wydawać to nie do pomyślenia, ale w konkretnych warunkach staje się normalne i zrozumiałe.

Stało się czymś naturalnym udzielanie Komunii Świętej, Chrztu, co oczywiście u nas w Polsce może dziwić. I już nigdy nie zabierałam miejsca Animatorom w odprawianiu nabożeństw. Dawałam z siebie wszystko, aby ich dobrze przygotować do niedzielnego głoszenia Ewangelii, ale to oni stawali przy ołtarzu. Ja tylko wtedy kiedy żartownie mówili mi, że wkrótce będę wyjeżdżać do miasta na jakieś zebranie, albo do Polski na wakacje, więc chcieli mnie wykorzystać i sobie troszkę odpocząć.

Pracowałam w Tacsha Curaray 7 lat. Podczas tego okresu zostałam odpowiedzialna za koordynację duszpasterstwa młodzieży w Wikariacie, a potem w całym Regionie Dżungli, co oczywiście przysporzyło mi pracy i wyjazdów. Ale było warto. Nie miałam pojęcia jak podołam

tak ważnym zadaniom, przygotowywaniem materiałów dla tej młodzieży, książek, organizowanie Kongresów, czy koordynowanie prac z siedmioma biskupami. Każdy na odległość od 2 do 5 dni podróży statkiem. Ale to był dobry strzał. Pomógł mi on bardzo w tym niekończącym się nigdy procesie inkultryzacji. Podróżowałam z młodzieżą, poznawałam ją i z nimi innych i coraz bardziej ich kulturę, jej wartości. Młodzież jest otwarta, ruchliwa, chętna do przyjaźni i naprawdę polubiliśmy się. Dzięki nim zostałam zawsze młoda i ciągle energiczna.

W roku 2000 biskup postanowił założyć nową parafię pod wezwaniem św. Róży z Limy w Mazán, nad tą samą rzeką Napo. Potrzebował do niej przynajmniej dwie misjonarki, bo księża już się dawno "skończyli". Znowu propozycja nie do odrzucenia: "czy nie zechciałybyś pomóc mi w tym?, ty już masz doświadczenie,...?". W marcu 2000 roku po powrocie z kolejnych wakacji w Polsce, zostałam odpowiedzialna za tą nową parafię. Pomagała mi na początku nauczycielka z tej samej wioski, a po roku miałam jeszcze dwie koleżanki misjonarki. Jedną z nich to Pani Dorota Koziel, Polka, a druga to Jaineth, katechetka świecka z Mazán, którą biskup włączył do ekipy misjonarskiej. Ona była naszą wychowanką.

Wytrwałam w Mazán następnych 6 lat. Zaangażowałam się tutaj dużo bardziej w duszpasterstwo socjalne, szczególnie obronę środowiska naturalnego, głównie Puszczy Amazońskiej. Katechezę dzieci przejęła Jaineth.

Zorganizowaliśmy w parafii liderów socjalnych, czyli ludzi, którzy ze specjalną odwagą i zainteresowaniem organizują i uświadamiają innych w obronie swoich praw przed niszczycielską działalnością wielkich mafii, nielegalnego wycinania drzew, mafii przemysłników narkotyków i wielkich koncernów naftowych. Te ostatnie zarażają wody naszych wiosek, zatrują ryby, podstawową potrawę dla tych ludzi. Powodują także choroby, bowiem w tej rzece ludzie się kąpią i używają jej do picia i gotowania.

A teraz czas na "velada"- idziemy się pomodlić do Pana poprzez pieśń i taniec. Danzamos trwa całą noc, aż przyjdzie świt i przy ostatnich dźwiękach bębenków i piszczałek ludzie rozejdą się do domów.

Pomimo olbrzymiego w całej historii Amazonii uciskania i niszczenia Indian, nie przestali nigdy tańczyć i śpiewać. Posiadają jakąś niezwykłą moc radości, których powodów trzeba się by było doszukiwać długo i głęboko. Chyba po prostu wiedzą, że Bóg ich bardzo kocha.

Przyszedł rok 2005, wpadłam w następną przygodę. Od kilku już lat biskup proponował mi objęcie funkcji wikariuszki duszpasterstwa, ale wymigiwałam się, a na początku nawet myślałam, że on sobie ze mnie żartuje. Wiedziałam, że tę funkcję pełnili zawsze księża. Po kilku nie udanych próbach biskupa, "pokonał". Pomyślałam, że może w tym etapie mojego życia, Pan Bóg chce ode mnie takiej posługi.

Wierząc, że Kościół docenia rolę kobiety, że równie dobrze może ona apostołować jak kapłani, zgodziłam się na tą nową funkcję koordynowania duszpasterstwa w wikariacie. Mam już za sobą ponad dwa lata tej działalności. Zostałam uwolniona z parafii dla pełnego wykonywania nowych zadań.

To co robię było zupełnie nieznanne ani mnie, ani poprzednikom. Nie idzie mi tak źle i jak na razie jeszcze cieszę się zaufaniem biskupa. Wyjeżdżam na wizytacje parafii. Mamy ich dzisiaj już szesnaście, po granice z Kolumbią, Brazylią i Ekwadorem. Odległości pokonuje małymi samolotami, wodolotami, albo motorówkami. Opływam wszystkie parafie w ciągu pół roku. Drugą połowę dedykuję na organizowanie zebrań, spotkań, kongresów, komisji czy kursów formacyjnych. Kiedy wracam to gdzieś muszę ?przycumować?. Mieszkam więc obecnie w Iquitos, stolicy naszej dżungli. Ale biuro nie jest moim powołaniem, robię tyle ile jest konieczne, a potem znowu w drogę, znowu do lasu, gdzie czuję się najszczęśliwsza, blisko ludzi, natury i Boga, tzn. im dalej od miasta, od cywilizacji...

Myślałam kiedyś, co oznacza dla mnie te 25 lat na misjach. Niezaprzeczalnie dar wdzięczności Bogu i ludziom, którzy pomogli mi wybrać ten oto sposób na życie, który mnie pasjonuje, realizuje całkowicie i napełnia niezwykłą radością.

A ponadto troszkę nauczyłam się umniejszyć aby ON wzrastał. Ludzie świeccy stają się protagonistami swojej własnej ewangelizacji.